

JACEK JOACHIM

WIZYTA U MORDERCY



Jacek Joachim

WIZYTA U MORDERCY

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-41-8

Copyright © Spadkobiercy autora

Tekst: Wydawnictwo Ślask, Warszawa 1968

Projekt okładki: Justyna Niedzińska

Jacek Joachim to pseudonim literacki Zbigniewa Kubikowskiego

Spis treści

- I. Hotel „Pod Krzywą Wieżą”
- II. Ostatnia melodia wieczoru
- III. Maski
- IV. Morderca uderza po raz drugi
- V. Browning 6,35
- VI. „Proszę o pomoc lekarską”
- VII. Chwila ciszy
- VIII. Początek śledztwa
- IX. Szach
- X. Mat
- XI. Pociąg odjeżdża 19.07

I. Hotel „Pod Krzywą Wieżą”

Oderwałem oczy od książki, kiedy pociąg zatoczył się raz i drugi na zwrotnicach a siedzący naprzeciw mnie opasły mężczyzna poderwał się gorączkowo i posapując ściągnął z siatki wielką, wytartą walizkę.

– Dojeżdżamy? – spytałem.

Spojrzał na mnie z wyrzutem. Od dwu godzin tkwiliśmy samotnie w przedziale słuchając stukotu kół, sennych nawoływań zawiadowców na małych, zagubionych w lesie stacyjkach, leniwego pogwizdywania lokomotywy – i nie nawiązaliśmy rozmowy. Zbywałem monosylabami uwagi, pytania i refleksje mego współtowarzysza podróży, aż umilkł urażony i wetknął nos w gazetę. Potem szeleścił papierami, jadł, palił papierosy mruczając coś pod nosem. Ja czytałem książkę, wychodziłem na korytarz, stawiałem przy otwartym oknie śledząc powolny przepływ rudych, pofałdowanych ściernisk, popłatanych polnych dróg, wilgotnych lasów, dróżników salutujących z dziecinną powagą, pastuchów, machających ku mnie rękami.

Złe zrobiłem, nie miałem co do tego wątpliwości. Powinienem wdać się w tę tak natarczywie proponowaną mi rozmowę, dowiedzieć się jak najwięcej o miasteczku, do którego jechałem, o ludziach, z którymi przyjdzie mi się zetknąć. Nie potrafiłem jednak zrezygnować z leniwego odpoczynku, z samotności tak nieoczekiwanie mi ofiarowanej.

Teraz więc mój współtowarzysz patrzył na mnie z wyrzutem i niechęcią.

– Dojeżdżamy – odpowiedział niewyraźnie – niech się pan śpieszy, pociąg tu długo nie stoi.

Wrzuciłem książkę do podróżnego worka, ściągnąłem i związałem sznurki, byłem już gotów. Za oknem rozchybotanego wagonu lśniły w przedwieczornym słońcu blaszane dachy magazynów, zwrotnice, szyny.

Ruszyliśmy jednocześnie ku drzwiom. Zatrzymałem się, aby przepuścić rozmownego grubasa, ale on stanął również i z widocznym wahaniem wyciągnął ku mnie dłoń.

– Dziękuję – powiedział z tą nieznośną, małomiasteczkową galanterią, która może zniechęcić człowieka na całe życie do utrzymywania stosunków towarzyskich – Ropuszyński jestem. Aptekarz.

– To ja panu dziękuję za wyrozumiałość – uśmiechnąłem się – nie byłem zbyt atrakcyjnym towarzyszem podróży.

Pociąg zaczął zwalniać, rzuciło nas na przeciwległą ściankę, uprzejmy pan Ropuszyński rozcierał sobie kolano, którym zawadził o kant własnej walizki.

Syk pary, krzyki konduktorów: „Różopole”. Poderwaliśmy się gwałtownie i zapominając o uprzejmościach skotłowaliśmy się w drzwiach.

– Zaraz ruszy – stęknął aptekarz – ten pański worek zakorkował mnie na amen.

– Niech pan cofnie walizkę – krzyknąłem – i wciągnie brzuch. O, teraz dobrze.

Wydostałem się na korytarz, przebiegłem kilka kroków, po stromych stopniach opuściłem się na niski, żwirowany peron. Za mną ciągnął aptekarz. „Radzimy zwiedzić objazdową wystawę Juliusza Słowackiego – radził głośnik – wstęp bezpłatny, młodzież szkolna chętnie widziana”.

Budynek stacji był mały i schludny, w zielonych skrzynkach pod oknami czerwieniły się pelargonie. Tuż obok mnie obejmowały się z wylewną czułością dwie starsze panie o obfitych kształtach, obok nich stała wysoka, ładna dziewczyna, uprzejmie uśmiechnięta ale i serdecznie znudzona, sądząc po nieustającym ruchu palców, zwijających i rozwijających skrawek fularowej chusteczki. Zgarbiony, kościsty mężczyzna w jasnym ubraniu z cieniutkiego tropiku miotał się między kilku potężnymi walizkami, dając gniewne znaki dorożkarzowi, który nie śpiesząc się szedł ku niemu. Dorożka – skąd tu dorożka? – stała za płotem, oddzielającym teren stacji od placu. Starannie utrzymany koń wykręcał

rozpaczliwie głowę w kierunku pelargonii, ale nie mógł sięgnąć, obnażał więc niecierpliwie żółte zęby i targał uprzężą.

Ktoś mnie potrącił, to pan Ropuszyński, znów rozjaśniony uprzejmością, stał przy mnie, ocierając czoło kraciastą chustą.

– Pan do nas na dłużej? – spytał z pozorną obojętnością.

– Może – odpowiedziałem szybko – niech mi pan powie, co to za dziewczyna?

– No, nieźle, nieźle – zachichotał – ma pan dobre oko. To panna Bergerówna, córka naszego adwokata. Pan Berger właśnie ładuje walizki, a pani Bergerowa rozmawia z siostrą, miała do nich przyjechać na urlop. To na pewno ona.

– Jest tu jakiś hotelik? – zapytałem jeszcze ujmując swój worek.

– A jest, jest. „Hotel pod Krzywą Wieżą”, z restauracją i dansingiem. Pójdzie pan prosto Dworcową i jak tylko wyjdzie pan na plac, zaraz z prawej strony zobaczy pan sztyl.

– Dziękuję – wyciągnąłem rękę – na pewno się jeszcze zobaczymy.

Zostawiłem go z otwartymi ustami i znanym mi już wyrazem zawodu na twarzy, sam zaś ruszyłem szybko ku wyjściu, tuż za panią Bergerową, jej siostrą i córką. Zawiadowca w czerwonej czapce podniósł wysoko chorągiewkę, trzaskały drzwi wagonów, lokomotywa gwizdnęła przeciągle, kłęby pary opłynęły peron. Siostra pani Bergerowej dźwigała wypchaną skórzaną torbę, szła ciężko odwracając, jak automat, głowę raz w lewo, raz w prawo, ku siostrze i siostrzenicy. Berger, stojąc na koźle dorożki, mocował się z walizką. Spojrzałem za siebie, pociąg odjeżdżał, zawiadowca tkwił na swoim posterunku jak pomnik ze spiżu, ktoś machał chusteczką. Ropuszyński włókł się smętnie ze swoją walizką. Nagle posłyszałem przed sobą lekki okrzyk, to siostra pani Bergerowej potknęła się, zachwiała, z jej torby posypały się na żwir jakieś zawiniątka. Rzuciłem swój worek, w sekundzie byłem przy niej, zbierałem gorliwie rozsiane po ziemi drobiazgi.

Obdarzyła mnie pełnym godności uśmiechem, schyliłem się po ostatni pakuneczek i dotknąłem ręki dziewczyny, która wyprzedziła mnie o ułamek sekundy. Uśmiechnęliśmy się do siebie, pani Bergerowa dziękowała mi wylewnie. Stałem patrząc, jak sadowili się w dorożce. Dziewczyna odwróciła głowę, kiedy ruszyli ze skrzypieniem dyszla, uśmiechnęła się raz jeszcze. Podniosłem swój worek i powlokłem się ku wyjściu. Oddałem bilet staremu kolejarzowi, po małej poczekalni hasały purpurowe refleksy zachodzącego słońca, utleniona blondynka w kasie rozmawiała z młodym człowiekiem, opartym nonszalancko o żelazną barierkę. Na placu przed stacją stały dwie taksówki, kilku wyrostków siedziało na obmurowaniu schodów paląc papierosy.

Szedłem szeroką ulicą, obsadzoną topolami, mijałem pary idące powoli z wyrazem uprzejmej i znudzonej czułości na twarzach, stare kobiety, szepczące nerwowo w bramach domów, psy, wylegające się na jezdni. Wysokie, sierpniowe niebo ciemniało nade mną powoli, bujna zieleń kipiała w stalowych siatkach ogrodzeń. Na chodnikach było coraz rojniej, w miarę jak zbliżałem się do centrum.

Skręciłem w prawo, na niewielkim placu, pośrodku utrzymanego starannie skweru wznosił się pomnik. Parter dwupiętrowej kamienicy ocieniał szklany daszek, na którym wielkimi literami reklamował się „Hotel pod Krzywą Wieżą. Restauracja, kawiarnia, dansing”.

Pchnąłem ciężkie, oszklone drzwi, błyszczące niklowymi uchwytami, znalazłem się w niewielkim hallu. Rozejrzałem się, zaskoczony. Na wprost mnie pięły się szerokie schody, wyścielone czerwonym chodnikiem, na podłodze leżał puszysty dywan, w kącie między głębokimi fotelami tkwił okrągły stolik, obok szafka z gazetami, po lewej stronie uchylone drzwi odsłaniały wnętrze niewielkiego pokoiku, nad którym wisiała biała, emaliowana tabliczka z napisem: Recepcja. Przy drzwiach siedział młodziutki chłopak w czymś, co przypominało liberię pikolaka. Ujrawszy mnie zerwał się, odebrał mi worek podróżny i

wskazał uprzejmym ruchem drzwi pokoiku. Wszedłem tam oszołomiony, spodziewałem się tu wszystkiego, tylko nie takiego hotelu i nie takiego przyjęcia.

Za niewielkim, orzechowym biurkiem siedział rostry mężczyzna w białej koszuli, w krawacie, zapisywał coś w grubej księdze. Za nim, na ścianie, wisiała drewniana tabliczka, na niej klucze pod wymalowanymi czarną farbą cyframi.

Podniósł oczy i wskazał mi krzesło. Usiadłem, niezupełnie pewny, czy wszystko to dzieje się naprawdę, czy też biorę udział w proroczym śnie przewodniczącego miejskiej rady narodowej.

– To „Hotel pod Krzywą Wieżą”? – spytałem niezbyt mądrze.

– Oczywiście – potwierdził z powagą mężczyzna – kiedyś, proszę pana, to był mój hotel. Prowadzę go tak, jakby nic się nie zmieniło. Mam nadzieję, że będzie się pan czuł u nas jak u siebie w domu.

– Jestem tego pewien – powiedziałem z nie ukrywanym entuzjazmem – u siebie w domu nie mam pikolaka, innych różnic nie widzę.

Sięgnął do szuflady po druczek i odkręcił wieczne pióro.

– Pozwoli pan, że wypełnię kartę meldunkową?

– Pozwolę – bąknąłem.

– Proszę imię, nazwisko.

– Jacek Joachim – odpowiedziałem potulnie.

– Zawód?

Do pokoju zajrzał pikolak i wycofał się szybko, spłoszony niecierpliwym gestem mężczyzny.

– Historyk.

Ożywił się.

– Pan do naszego liceum? Niestety, dyrektor jeszcze nie wrócił z nad morza, musi pan kilka dni poczekać. Ale wiedzieliśmy, że pan przyjedzie.

Zadzwonił telefon, kierownik hotelu podniósł słuchawkę.

– Tak, tak – zawołał – nie, mówiłem żeby wczorajsze odesłać pani Ropuszyńskiej.

– Zajmuję się także naszą kuchnią – westchnął – nikomu nie można zaufać. Ja, proszę pana, pracowałem przed wojną w Warszawie, w Bristolu.

– Ma pan dobrą szkołę – zauważyłem.

– Oczywiście – potwierdził z dumą – robiliśmy bankiety na dwieście osób, kiedyś, kiedy Ordonówna... ale pan pewnie zmęczony, chciałby wypocząć. Dyrektor wspominał, że pan pracuje naukowo, a przy takiej pracy wypoczynek jest najważniejszy. I dobra kuchnia. Tak mówił profesor Chojnacki, zawsze zatrzymywał się w Bristolu. Poszukać panu pokoju na mieście?

– Dziękuję bardzo – podniosłem się – parę dni pomieszkam w hotelu, rozejrzę się. Gdzie tu można zjeść kolację?

– U nas, oczywiście u nas – wstał także – dziś sobota, dansing, będzie ruch, ale zarezerwuję miejsce. Zobaczysz pan wielu ludzi z miasta, prędzej czy później i tak ich pan pozna. Ułatwię to panu.

– Państwo Bergerowie bywają tu często? – spytałem odruchowo, zanim zdążyłem się zastanowić.

– Zna pan państwa Bergerów – powiedział żywo i przyjrzał mi się uważnie – zarezerwowali na dziś stół, mają gości.

– Pokazano mi ich na stacji – wycofałem się szybko.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Mają ładną córkę. Panna Irena przyjechała niedawno, spędzi tu resztę wakacji. Studiuje medycynę.

– Dziękuję bardzo, to wszystko.

Wyciągnąłem rękę ku drzwiom.

– Zupełnie zapomniałem – kierownik hotelu uderzył się z rozmachem ręką w czoło – poproszę jeszcze dowód osobisty, muszę zanotować numer. Tak się przyjemnie rozmawiało... Dam panu dziewiątkę – mówił zwracając mi dowód – ładny pokój, z balkonem i łazienką. A może chciałby pan coś skromniejszego?

– Niech będzie ta dziewiątką – uśmiechnąłem się – parę dni luksusu, jakoś to wytrzymam.

– Najzupełniej się z panem zgadzam – odpowiedział grzecznie, wręczając mi klucz.

Pikolak zatrzymał się przed schodami, przekreślił kontakt. Zapłonęła łagodnym blaskiem lampa pod sufitem i małe żaróweczki w mlecznych kloszach nad wewnętrznymi poręczami. Wchodziliśmy powoli, na pierwszym piętrze chłopiec skręcił w prawo i zatrzymał się przed szerokimi, białymi drzwiami.

– To dziewiątką – powiedział niepotrzebnie, bo dużą cyfrę wyrytą na miedzianej tabliczce można było odczytać nawet w panującym tu półmroku. Korytarz był krótki, szeroki, kończył się wielkim oknem, sięgającym od podłogi do sufitu. Wręczyłem pikolakowi niklową dwuzłotówkę, schował ją błyskawicznie do małej kieszonki. Wszedłem do pokoju, worek postawiłem na ziemi, rozejrzałem się. W kącie stało szerokie, drewniane łóżko, na środku stolik i dwa miękkie foteliki, przy drzwiach szafa, pod oknem niewielkie biureczko. Nad łóżkiem wisiał olbrzymi obraz, na którym potężny jelen nachylał się nad przeraźliwie błękitnym strumykiem.

Z lewej strony niewielkie drzwi prowadziły do łazienki. Umyłem się, rzeczy rozmieściłem w szafie, włożyłem lekkie, letnie ubranie.

Wszedłem na balkon. Niebo ściemniało już całkowicie, przede mną wąski, prostokątny skwer zamykały żywopłoty, za nimi rozpały się światła w oknach domów i willi. Kontury z rzadka rozsianych drzew nasycaly się mrokiem, niżej czerniały plamy krzaków, jaśniejsze smugi ścieżek. Słuchać było stłumione nawoływania, śmiechy, daleki dźwięk klaksonu, gdzieś niedaleko grało radio, co to za piosenka? „Tylko pod domem tuż, zakwitł krzak pąsowych róż...” To „Pensylwania”. Zapaliłem papierosa, myślałem o tych kilku dniach, które mi pozostały do przyjazdu dyrektora. Nie byłem zmęczony, nie odczuwałem potrzeby snu. Trzeba zadzwonić do Stefana, potem pójść na kolację. Bergerowie zajęli stolik. Poproszę tę dziewczynę do tańca, inaczej będę przez całą noc palił papierosy i myślał o Hance. Gdyby napisała, list przyszedłby jutro, najpóźniej pojutrze... Nonsens. Nie odezwie się pierwsza, a ja – ja tym bardziej.

„Gdzieś mi rzekł pierwszy raz...”

Wszedłem do pokoju, zamykając gwałtownie drzwi. Ogarnęła mnie ciemność, na wprost majaczyła niewyraźną plamą jasna tafla lustra. Było cicho, tylko na korytarzu, tuż przed moim pokojem, usłyszałem niewyraźny szmer. Miękki dywan tłumił moje kroki, stanąłem przy drzwiach i otworzyłem je nagle. Uderzyło mi w oczy światło, pikolak szedł przez korytarz ze sztucznie obojętną miną.

– Hej, chłopcze – zawołałem.

Zatrzymał się.

– Słucham, proszę pana.

O co właściwie go spytać?

– O której zaczyna się dancing?

– Już się zaczął, proszę pana. Pan zejdzie na kolację?

– Tak, zaraz.

Przekreśliłem kontakt, spojrzałem na zegarek. Pół do dziewiątej. Wyjąłem z worka nową paczkę papierosów, zmieniłem chusteczkę. Włożyłem worek do szafy, klucz schowałem do kieszeni. Ten pikolak warujący pod drzwiami nie budził we mnie zaufania. Ale schodząc na dół już o nim nie pamiętałem. Uśmiechałem się do siebie myśląc o zdziwieniu Stefana, kiedy

posłyszysz przez telefon mój głos. W hallu było pusto i mroczno, pikolak siedział przy szafce z gazetami. Ujrawszy mnie zerwał się i podbiegł do schodów.

– Proszę pana – szepnął.

W jego twarzy było napięcie i niepokój.

– Co takiego? – spytałem zdziwiony.

Rozejrzał się dookoła.

– Pan przyjechał z Warszawy?

– Tak. Jestem nauczycielem, będę pracował u was w liceum.

– W liceum – w jego głosie wyczułem nutkę rozczarowania. Szczęknięły drzwi, kierownik hotelu wyrzwał ze swego pokoiku, pikolak odskoczył ode mnie gwałtownie.

– Już na kolację?

– Chciałem przedtem zadzwonić.

– Proszę bardzo, u mnie jest telefon.

Ubrany był w biały kitel, przesiąknięty zapachami potraw.

– Siedzę teraz w kuchni – wyjaśnił.

Zamykając drzwi obejrzałem się. Pikolak stał znowu przy szafce z gazetami, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Czy może mi pan podać numer Powiatowej Komendy Milicji? – spytałem ujmując słuchawkę.

– Milicji? – zdziwił się.

Rysy jego twarzy stwardniały, przyjrzał mi się z nagłym zainteresowaniem.

Roześmiałem się.

– Mój uniwersytecki kolega jest komendantem powiatowym – wyjaśniłem. – Nie widzieliśmy się całe wieki, to mój jedyny dobry znajomy w Różopolu.

Rozjaśnił się.

– Oczywiście, oczywiście – potakiwał – proszę bardzo, numer 621.

Wykręciłem numer 621, odezwała się dyżurka.

– Czy jest jeszcze komendant?

– W domu.

– Możecie mi podać jego numer?

– A kto mówi?

– Znajomy z Warszawy.

– 782. Ale...

Rozłączyłem się. Wykręciłem 782, chwilę trwał sygnał, potem zaszemrał w słuchawce dziecinny głosik.

– Jest tatuś?

– Tatuś?

I męski głos:

– Halo.

– Stefan?

– Słucham.

– Jacek mówi. Jacek Joachim.

Milczenie, wreszcie tubalny okrzyk.

– Jacek? Skąd się tu wzięłeś? Co robisz?

– Chyba będę pracował w waszym liceum. Widzisz, jak się ludzie spotykają.

– No właśnie, właśnie – powtarzał uradowany – ileśmy się nie widzieli? Czekał, pięć, chyba sześć lat, prawda?

– Sześć. Mówił mi Roman, żeś się tu zaszyl. Nie powiem, żeby mnie to zmartwiło.

– Skądże ty dzwonisz?

– Z „Hotelu pod Krzywą Wieżą”. Tu zjem już kolację. Nie, nie róbcie sobie kłopotu, jutro na obiad, dobrze, ale dzisiaj już późno, zjem kolację i pójdę spać. No jasne, że za wszystkie czasy. To cześć, i ja się bardzo cieszę.

Odłożyłem słuchawkę, kierownik manipulował coś przy tablicy z kluczami, widać jednak było, że słuchał uważnie. Zanim zdążyłem otworzyć usta, zaskrzypiały drzwi wejściowe i do pokoju wpadł niski, otyły człowieczek ocierając chusteczką idealnie kulistą łysinę.

– Dobry wieczór, dobry wieczór – zawołał piskliwym głosem – poproszę mój klucz. Gorąco tu u was, a w sierpniu wieczory powinny już być chłodne. Pan też mieszka pod wieżą? – zwrócił się do mnie – bardzo mi przyjemnie. Klęgorek jestem, inspektor służby zdrowia.

– Joachim, nauczyciel – bąknąłem ściskając jego wilgotną dłoń.

– Nauczyciel? Piękny fach. Humanitarny. Pochodnia oświaty.

– Kaganek – sprostowałem.

– Kaganek?

– Pan, zdaje się, cytował Słowackiego?

– Cytowałem? Może być, wie pan, człowiek taki zalatany, że już sam nie wie, kogo cytuje. Pan mieszka na pierwszym?

– Pod dziewiątką.

– Pod dziewiątką – rozpromienił się – ja pod ósemką, to znakomicie. Naprzeciw. A obok nas – pochylił się ku mnie – pani Joasia, lekarka. Karmelek, mówię panu. I co za głos.

– Głos, karmelek? Chyba kanarek? I dlaczego lekarka w hotelu?

– Czeka na mieszkanie – wtrącił się kierownik – i na razie mieszka u nas. Proszę, ósemka.

– Dziękuję bardzo, dziękuję – Klęgorek już był w drzwiach – bardzo proszę na pogawędkę, kiedy tylko będzie pan miał ochotę – kiwał ku mnie ręką.

– Pójdę na kolację – podniosłem się.

Ale nie było mi dane rozstać się z kierownikiem. Jeszcze nie umilkły kroki inspektora, wspinającego się po schodach, kiedy w drzwiach zjawił się wysoki, barczysty mężczyzna o kwadratowej głowie wtulonej w ramiona. Za nim słysząc było cichutkie pochlipywanie.

– Co się stało, panie Rogoża? – zapytał kierownik.

– Niosła dwa pełne wiadra – mruknął – przez podwórze, już wychodziła na skwer, kiedy ją zobaczyłem. Mówi, że resztki z kuchni, ja tam nie wiem, co wolno wynosić.

Odstąpił na bok, przepuszczając niską dziewczynę o szerokich biodrach, obfitym biuście i zaczerwienionych oczach.

– Niosłam resztki do pani Ropuszyńskiej, jak pan kierownik kazał – zaczęła płaczliwie – a Rogoża złodziejką mnie robi, krzyczy, aż się wszyscy z kuchni zlecieli. Ja...

– Dobrze, dobrze – przerwał kierownik – panie Rogoża, takie sprawy proszę załatwiać cicho. Maryśka odnieś te wiadra, pan potem zajdzie do mnie.

Wycofali się pośpiesznie. Teraz dopiero przyjrzałem się dokładniej kierownikowi. Miał gładko wygoloną twarz, stanowcze rysy, wąskie, niebieskie oczy, teraz pełne zimnych, stalowych błysków.

– Jak pan widzi – zwrócił się do mnie – nie mogę się uskarżać na lenistwo naszego dozorca. Jest raczej skłonny do przesady. Pani Ropuszyńska – dodał tonem wyjaśnienia – prowadzi małą hodowlę, kupuję czasem od niej tuczniki dla hotelowej restauracji i dlatego posyłam jej resztki z kuchni.

Po co mi te szczegóły? Czyżby funkcja Stefana i mnie czyniła w oczach tych ludzi osobą niejako urzędową?

– Najwyższy czas na kolację – powiedziałem – robi się już późno.

Zerwał się.

– Zaprowadzę pana.

Otworzył drzwi do hallu, wyszedłem pierwszy. Nad skurczonym na krześle pikolakiem stał Rogoża, z podniesioną ręką, jakby chciał go uderzyć. Zobaczywszy nas wzruszył ramionami i poszedł ciężko w kierunku wyjścia. Pikolak siedział bez ruchu, z pobladłą twarzą.

– Przejdziemy tędy – prowadził mnie kierownik. Odsunął kotarę w rogu za schodami, znaleźliśmy się na małym korytarzyku. W powietrzu unosiły się gęste zapachy kuchni, słysząc było skwierczenie smażącego się mięsa, a w głębi przytłumione dźwięki orkiestry. Białe, podłużne okienka w ścianach, na końcu korytarza druga kotara, białe bluzki kelnerów – i kolorowe wnętrza niewielkiej sali restauracyjnej z błyszczącym owalem parkietu przed podium dla orkiestry. Stoliki były już zajęte, pojękiwały strojone skrzypce, gwar rozmów wybuchał tu i ówdzie głośniejszym akordem: w rogu pod mlecznym kloszem światła niewielkiej lampki, przytwierdzonej do ściany, zauważyłem jasne włosy Ireny Bergerówny, przy niej dostojne twarze matki i ciotki, wreszcie pochylone plecy adwokata. Kierownik prowadził mnie prosto do ich stolika. Chciałem go zatrzymać, ale już zginał się w niskim ukłonie przed panią Bergerową.

– Pan Joachim, historyk i przyjaciel naszego komendanta – przedstawił mnie ceremonialnie – państwo byli łaskawi wyrazić zgodę, aby pierwszy wieczór w naszym mieście spędził przy ich stoliku.

Ochłonałem z zaskoczenia i byłem właściwie zadowolony.

– Bardzo nam miło – przemówił Berger – widzieliśmy się na stacji, prawda?

Więc jednak mnie zauważył.

– Pan był bardzo uprzejmy – szczebiotała siostra pani Bergerowej – dziś to się rzadko spotyka wśród młodych ludzi.

Pochyliłem się nad ręką pani Bergerowej, jej siostra na moje „Joachim” powiedziała wyraźnie: „Sobocińska”, Irena uśmiechała się milcząc – jeszcze nie słyszałem jej głosu – Berger zaś potrząsnął kordialnie moją ręką wskazując mi miejsce między sobą a Ireną. Przy sąsiednich stolikach milkły rozmowy, coraz więcej twarzy odwracało się w naszym kierunku – usiadłem więc szybko i zacząłem przeglądać podsuniętą mi przez Bergera kartę. Kelner z pretensjonalnym wąsikiem przyjął zamówienie i balansując pustą tacą znikł za kotarą.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI